

Szczygły

This edition © copyright by **Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”**,
Warszawa 2019

Text © copyright by **Beata Ostrowicka**, 2019

Ilustracje, tytuły, inicjały, projekt okładki i stron tytułowych
Martyna Wilner

Książka powstała na podstawie treatmentu *Czar patyczaka*,
za który Autorka otrzymała w 2017 roku wyróżnienie w konkursie
Stowarzyszenia Autorów ZAiKS i Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej
na treatment scenariusza filmu dla dzieci.

Szczygły

Beata Ostrowicka

Ilustracje
Martyna Wilner

NASZA KSIĘGARNIA

Dla Agaty i Kuby oraz Mai i Huberta



Rozdział III

w którym się biega i ucieka,
i dużo rozmawia

Zojka lubiła swoje miasteczko za parę rzeczy.
Za nazwę. Kojarzyła jej się z czymś miękkim,
takim jak aksamit. Kolory mokka i czekolada. Mo-
gła je wąchać na okrągło.

Za to, że w niedużej odległości od tego, co szumnie na-
zywano centrum, a na co składało się parę sklepów, ko-
ściół, biblioteka, posterunek policji i gabinet piękności Vio-
letta, czyli „Fryzjer, solarium i tipsy jak marzenie”, rozcią-
gały się lasy, pola i wiła się niewielka rzeczka.

Za pozostałości po domu Kulików.

Miejscowa legenda głosiła, że Kulikowie któregoś po-
południa wrócili do domu. Starsi z pracy, młodsi ze szko-
ły. Najmłodszy z przedszkola. Wieczór spędzili jak zawsze.
Zjedli kolację, poszli spać, a rano już śladu po nich nie
było. Zupełnie jakby ich wywiała trąba powietrzna. Miej-
scowy pijak, pan Luteczek, utrzymywał, że to byli kosmici
i on ich widział, nawet z nimi rozmawiał. Nie za długo, ale
jednak.

Inna wersja mówiła, że żadni kosmici, bo to przecież
wierutna bzdura, tylko zwykłe złe moce. Kulikowie do ko-
ścioła nie chodzili, Kulikowa włosy na rudo farbowała, to

się dochrapali. Według tej opcji zdarzeń huknęło, dmuchnęło i już ich nie było. Niektórzy mówili, że śmierdziało siarką. Zniknął też Bryś, wielki leniwy kundel, który nigdy nie zaznał mieszkania w budzie, bo go Kulikowie brali do domu.

Kiedy Zojka dawno temu spytała babcię o to, jak było naprawdę, i dodała, że jej bardziej podoba się wersja z kosmitami niż z siłami nieczystymi, babcia najpierw parsknęła śmiechem, a potem opowiedziała, jak było. W latach sześćdziesiątych młodszy Kulikowie wyjechali do miasta, chyba Bydgoszczy, i po jakimś czasie ściągnęli tam resztę rodziny. Tyle tajemnicy.

Został zdziczały ogród, sterta cegieł i jedna ściana domu.

Za to samo, za co Zojka lubiła Ciele, Mania szczerze go nienawidziła.

Kiedyś często o tym rozmawiały, choć teraz, z perspektywy czasu Zojka oceniłaby to raczej jako monologowanie przyjaciółki.

Mania chciała skończyć szkołę i wyjechać stąd daleko, daleko. „Będę tu przyjeżdżać tylko w święta – odgrażała się. – A najlepiej jak ściągnę rodziców do siebie. Czy ty rozumiesz, że ja jestem cielanką? Do końca życia wszędzie muszę wpisywać jako miejsce urodzenia Ciele”. Tutaj następowała seria głębokich wzdychów – w robieniu których Mania była mistrzynią. A potem pojawiała się sakramentalne: „Tobie to dobrze, tobie wpiszą Świnoujście”. Tego



Zojka w ogóle nie rozumiała, dla niej ta kwestia nie miała żadnego znaczenia.

Co do konkretów na temat swojej przyszłości Mania nie miała żadnych wyobrażeń i wcale jej to nie przeszkadzało. Wierzyła, że urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą i że to wystarczy.

* * *

Lekcje się skończyły.

Dziewczynki szły do domu Kulików. Zojka prawie biegła, Mania ciągnęła się nogą za nogą.

Zojka uważała, że czas tam płynie inaczej. Spokojniej. Ciszej. Milej. Nic nie warczało, nie stukało, nie krzyczało. Za to pachniało, świergotało. Brzęczało. W rogu ogrodu rozrosły się krzaki czerwonych porzeczek. Zdziçałe, więc owoce były bardzo drobne i wyjątkowo pyszne.

Dziś Mania zachowywała się jak za starych czasów. Zojka, choć bardzo się z tego cieszyła, bo brakowało jej dawnej przyjaciółki, wiedziała, że to chwilowa zmiana, że niedługo Mania może znowu jej unikać, równie dobrze dwa dni, jak dwa tygodnie.

– Nie rozumiem i już. – Mania się skrzywiła. – U mnie w ogrodzie, w tej części za obórką, jest tak samo zarośnięte. Nie możemy tam siedzieć? Bliżej szkoły, bliżej domu, bliżej cywilizacji. I lepszy zasięg – kusiła.

– Wolę tu – odpowiedziała spokojnie Zojka i wyciągnęła się w pachnącej trawie. Nad nią przemykały białe chmury. Zawsze chciała mieć jedną, choćby najmniejszą, najbardziej postrzępioną, w charakterze poduszki, przytulanki, ciepłego szalika na zimę. Nowe pomysły pojawiały się cały czas, ostatnio chmurka-czapka i chmurka-kołnierz. – Przecież wiesz – dodała ugodowo.

– Wiem, wiem. Dobra energia, przestrzeń dla myśli... Ale nie rozumiem. – Mania nadęła się jak rozdymka. Potem od razu, duszkiem, wypila połowę mineralki. – Chcesz?

– Dzięki, mam. – Zojka przyciągnęła swój plecak. Pogrzebała w nim i wyjęła drugie śniadanie. Oderwała kawałek srebrnej folii, w którą było zawinięte, i ruszyła pod najbliższe drzewo. Uklękła i zaczęła dłubać patykiem w ziemi. – Łatwo nie jest – mruknęła.

– Co mówisz? – Mania leżała w trawie z plecakiem pod głową. Z rozmachem przyklepywała grzywkę i układała ją za prawym uchem. Według Zojki wyglądała, jakby ją krowa polizała.

– Nic, mówię do siebie...

– Za duża już jesteś na niebka.

– Powtarzasz mi to od lat.

Mania sięgnęła po komórkę i zaczęła ją przeglądać. Zojka usiadła, opierając się plecami o drzewo i zatonęła w myślach.

Coś szurnęło. Potem jeszcze raz. Mania pisnęła przerażona. Z krzaków wypadł kudłaty psiak. Szczeknął chrapliwie i przypadł do Zojki.

– Pętel, ty psia łazęgo, dawno cię nie widziałam. – Zojka głaskała psa obiema rękami. – Co słychać?

– Przestraszył mnie – powiedziała Mania z obrażoną miną. – Na śmierć. Serce mi się tłucze jak oszalałe. Chyba słychać aż w Paryżu – dodała, moszcząc się z powrotem w trawie.

Pies szczeknął i popatrzył wyczekująco na Zojkę. Ogon tańczył w prawo i w lewo.

– Zapraszam z całego serca! – zaśmiała się dziewczynka i ruszyła w kierunku plecaka. – Kanapka z pasztetem wege, rzodkiewką i sałatą. Zielsko oczywiście wyjmę – mówiła do psa, jednocześnie rozwijając srebrny pakunek.

Pętelek zajął się jedzeniem. Zojka wróciła pod drzewo. Nadal próbowała wykopać dziurę. Coś do siebie szeptała, podśpiewywała pod nosem. Sprawiała wrażenie zadowolonej. Mania wygrzebała z plecaka okulary przeciwsłoneczne i je włożyła.

– Zauważyłaś, że Filipowi zjaśniały włosy? I chyba jakoś tak bardziej zaczęły się kręcić... – odezwiała się w pewnej chwili rozmarzonym głosem. – Serce znowu bije mi normalnie... nie, nie, na myśl o Filipie zdecydowanie przyspiesza i mam klasyczne motyle w brzuchu.

– Nic nie zauważyłam – jęknęła Zojka.



Koniec spokoju, teraz Mania dostanie słowotoku i będzie opowiadać o chłopaku, odmieniać jego imię przez wszystkie przypadki.

– Oj, tak. Ładnie Filipowi było w tym niebieskim T-shircie. Chyba też kartkówka nieźle mu poszła. Aha, Fredek dał mi superściągę, powinnam mieć dobrą ocenę. A tobie jak poszło?

– W ogóle mi nie poszło...

– Szkoda, szkoda. Fajnie, że się ta paskudna Musiakowa zawiesiła.

– Fajnie...

– Ciekawe, czemu ona tak ma. Grześ mówił, że może być sterowana przez kosmitów.

– Wątpię.

– Mnie tam wszystko jedno. Szkoda, że się częściej nie zawiesza. A Monisia... Zresztą teraz to nieważne. Słuchaj! Będzie nius! Bomba! Wiesz co?

– No nie wiem, ale zaraz mi powiesz.

– Tadam!!! Filip się do mnie rano uśmiechnął. W szatni. Chyba nawet chciał coś powiedzieć, ale przyszła ta durna Angela i po prostu się zmył. Trudno mu się dziwić, ona jest mocno wykurzająca.

– Gdyby chciał, toby zagadał – zauważyła trzeźwo Zojka. Cały czas dłubała w ziemi, szeleściła folią, uklepywała.

– Miał milion okazji.

– Świnia jesteś, a nie przyjaciółka. – Mania pociągnęła nosem.

– Bo ci mówię prawdę?

– Właśnie dlatego. Oraz mnie nie pocieszasz. Ciii. Słyszysz? – Już siedziała, kręcąc głową na wszystkie strony.

Pętelek cicho zawarczał. Ścieżką między pokrzywami szło dwóch roślących dwudziestolatków. Głośno rozmawiali, dzwoniło w reklamówce.

Mania porwała plecaki i ukryła się w pobliskich krzakach. Zojka złapała psa za obrozę i pociągnęła go w tę samą stronę.

– Ble... Nasze moczymordy miasteczkowe – szepnęła Zojka, wychylając się do połowy z krzaków. Poprawiła opaskę. Bardzo ją lubiła, ale czasami ozdoba żyła własnym życiem. Tak było i tym razem. Znowu niebezpiecznie zjechała na czoło. – Kamil i ten okropny Sylwester.

– Stanisław – poprawiła ją Mania, też zerkając na ścieżkę. – Nazywany Stasinkiem. – Skrzywiła się.

– Kto go tak nazywa?

– Nie wiem, wszyscy. To brat Igora.

– Tego z VII b?

– Z VIII a. Tego wiecznie ponurego.

– Nie cierpię go.

– Igora? – Mania otworzyła szeroko oczy. – Za co?

– Staniulka! – prychnęła Zojka w odpowiedzi.

– Stasinka. Stasinka. Aha. Z jakiegoś szczególnego powodu?

– Kiedyś próbował uderzyć psa. Gnojek.

– Gnojek.

Mężczyźni usiedli na murku, z reklamówki wyjęli kilkanaście puszek z piwem i zaczęli je ustawiać obok siebie.

– Będzie miło. – Stasinek beknął.

– No – przytaknął Kamil.

– Spadamy. Nic tu po nas – mruknęła Zojka i znowu poprawiła uszka. – A gdzie Pętelek?

– Był tu przed chwilą. Kurczę! – Mania syknęła. – Polazł po resztki twojej kanapki. Myślałam, że jest mądrzejszy.

– Ja też – mruknęła Zojka. – Pętelek, Pętelek. Chodź tu, chodź – zaczęła nawoływać szeptem.

Pies w odpowiedzi krótko szczeknął i ponownie zajął się jedzeniem.

– Angela, nasza piękna, kolejną swoją słitfocię wrzuciła – mruknęła Mania zapatrzona w telefon. – Chcesz zobaczyć?

– Niekoniecznie – sapnęła Zojka. – Dobra, Mania, zmywaj się stąd – zarządziła w pewnej chwili. – Ściągnę tego psiego matolka i też się stąd zmywam.

– No to pa – mruknęła Mania.

Porwała swój plecak, przyklepała grzywkę i pochyłona ruszyła w kierunku miasteczka.

– Patrz, Kamil. Zwierzątko – beknął naraz Stasinek.

Podniósł kawałek cegły i cisnął nim w psa.

– O, nie! – syknęła Zojka i błyskawicznie przymknęła oczy.

W bezruchu zamarł Stasinek z wysuniętą ręką i puszką przy ustach, zamarł Kamil z głupim uśmiechem.

– Pętelek, czy ty nie masz rozumu? – odezwała się z wyrzutem dziewczynka, wychodząc na ścieżkę. – Życia nie znasz? – Już głaaskała psa. – Jak dla mnie, to mogliby tak

zostać na sto lat. – Skrzywiła się, patrząc z niechęcią na unieruchomionych pijaczków. – Ale jeszcze nie skończyłam, o, tam. – Machnęła wolną ręką w stronę drzewa, przy którym wcześniej kopala. – Idziesz ze mną?

Podeszli... Dołek w ziemi, sreberko. Na sreberku liście, kolorowe płatki. Zojka przykryła to wszystko kawałkiem szkła i przysypała ziemią. Pętelek przyglądał się temu z prawdziwym zainteresowaniem.

– Ładne, prawda? A szkiełko, oczywiście, z tutejszej butelki. Pełno tego dookoła. Dobra, możemy iść... tylko jeszcze coś. – Podbiegła do murku i sięgnęła po puszkę z piwem. – Wyleję i puste odłożę, tak jak były – wyjaśniła psu. – Się chłopaki zdziwią. – Zachichotała, podniosła swój plecak z trawy i ruszyła szybkim krokiem przed siebie. Pętelek biegł obok.

Zatrzymali się obok starej gruszy. Widać już było miasteczko, słychać było samochody.

– Na pewno nas już nie zobaczą. Odczaruję te całe Stasinki... Nie, nie, jeszcze coś. Zdejmę im buty i skarpetki – postanowiła Zojka i skrzywiła się z obrzydzeniem, a pies warknął, co odebrała jako wyraz współczucia. – Mam w plecaku w bocznej kieszeni woreczek śniadaniowy. Użyję jako rękawiczki – dodała. – Niech wracają do domu na bosaka.

Już po chwili w stronę największych pokrzyw leciały buty i skarpetki.

– Bomba biologiczna jak nic. Jutro będzie tu spalona ziemia. Aha, gdybyś chciał im nasikać do butów, nie czuj się w żaden sposób skrępowany... Pięknie. Jak skończysz, to biegniemy do gruszy. Aha, skończyłeś? – Już po chwili byli pod drzewem. Pętelek machał ogonem, wyraźnie zadowolony z życia. – Teraz odczaruję te dwa piękne lola... Dobra, koniec czar. Słyszysz? – Podskoczyła z radości.

Od strony domu Kulików słychać było pełne wściekłości głosy mężczyzn. Przekleństwa przeplatali rozpaczliwymi pytaniami: „Gdzie moje buty?” oraz „Kurde, a skarpety?”, „Jezu, co to takie mokre?”.

– Brawo, Pętelek. – Cmoknęła psa w łeb. – Słuchaj, pewnie nie wiesz... – Zojka klękła, przybrała tajemniczą minę i zaszeptała: – Mam taki czar, który potrafi unieruchamiać ludzi... Na jak długo? Na ile chcę. Mówię na niego „czar patyczaka”... Prawda? – Cała się rozjaśniła. – Też uważam, że to supernazwa. Pętelek, masz gust. Szacunek.

* * *

Igorowi już dawno zaczęło burczeć w brzuchu, ale nie chciał się odrywać od swoich zajęć. Dobrze mu się pracowało, dobrze myślało. Gdyby mógł, siedziałby tu od rana do nocy, a od biedy można by było nawet spać na tej rozkraczonej kozetce.

Sześć metrów na cztery. Tyle jego prywatnego świata. Składzik. Drewniane ściany, dach, który przecieka w czasie deszczu. Betonowa podłoga. Półki z narzędziami, kartony z kablami, sprężynami i wszystkim tym, co zdaniem Igora miało status „jeszcze się może przydać”, a wyglądało jak zwykłe śmieci.

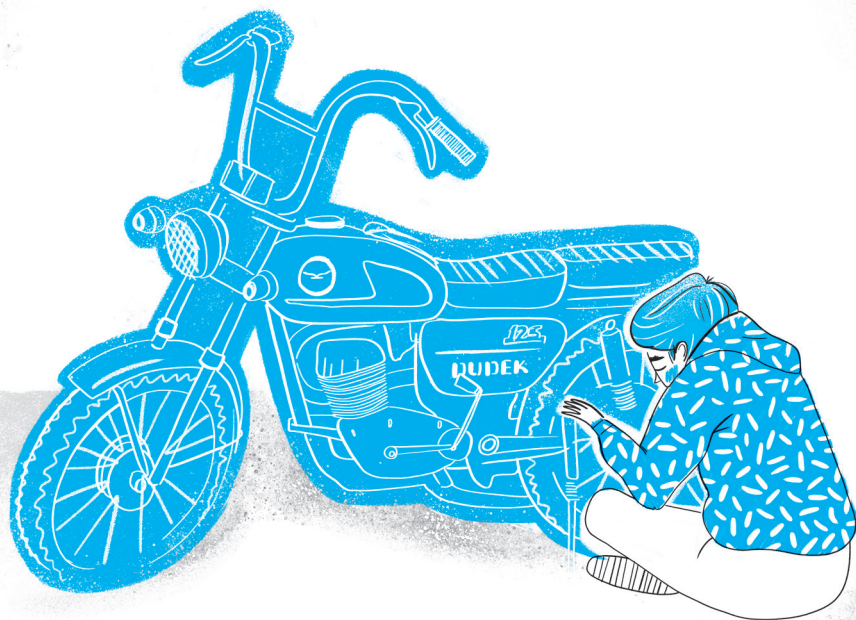
Stały tu dwie stare szafy, koślawy stół pełniący funkcję warsztatu, taborety i kilka krzeseł.

Centralne miejsce zajmował Duduś. Srebrzysty motocykl. WSK Dudek. Dokładnie WSK M21W2 Dudek, produkowany w latach 1975–1977 w Świdniku. Teraz już takich nie robią.

Motor ojca. Jego miłość i duma. Mama wspominała, że został kupiony jeszcze przed ślubem. „Chwilami byłam zazdrosna – mówiła. – Gdyby ojciec mógł, trzymałby go w dużym pokoju. Czasami się zastanawiałam, czemu ożenił się ze mną, a nie z Dudusiem”.

Coraz bardziej zacierały się w jego pamięci rysy ojca, brzmienie jego głosu. Zostało wspomnienie nieogolonej brody, która drapała, gdy ojciec całował go w policzek, i zapachu wody kolońskiej. Pamiętał zdarzenia, sytuacje, najbardziej wspólne siedzenie w składziku, bo przy Dudusiu często było coś do roboty, a jeśli nie, to wystarczyło pobyc, patrzeć na niego i snuć plany, że może by jeszcze koszt dokupić i wtedy cała rodzina mogłaby jeździć po Polsce. „Namiot, karimaty i w drogę”.

DUDEK



Czasami siedzieli w składziku w czwórkę, czasami w trójkę, ale najczęściej ojciec z Igorem. Stasinek nie przepadał za tym miejscem, za jego atmosferą.

Zamyślony chłopak przecierał kawałkiem starego podkoszulka lustro w chromowanej obudowie. Najwięcej pracy wymagały hamulce. Przydałyby się nowe świece, linka, dobre śrubokręty, klucze imbusowe; francuz nadał się na złom.

– Zapomnij, Igorku – mruknął sam do siebie. – Musiałbyś sprzedać nerkę. Może nawet dwie.

Za mało pieniędzy na codzienność, na remont domu. Dach przecieka. Rynna do wymiany. Potrzebny jest nowy kocioł do ogrzewania, nowa kuchenka, lodówka. Pralka coraz głośniej się tłucze przy wirowaniu, ostatnio powędrowała na drugi koniec łazienki. Mama powinna iść do dentysty i to nie tego w przychodni, tylko prywatnie. Renty po ojcu jest tyle co kot napłakał, a i tak Stasinek potrafi ją przepuścić w kilka chwil. Gdzie tu myśleć o nowym sprzęcie czy oponach...

Wytarł ręce w szmatę, włożył słuchawki i włączył odtwarzacz. Kiedy myśli zaczynały doskwierać, kiedy niepokój stawał się zbyt wielki, można było odpłynąć w muzykę. Odkrył ten mechanizm dopiero niedawno.

Wcześniej biegał.

Jeszcze wcześniej tłukł patykiem w uschnięty pień lipy w ogródku.

W drzwiach składzika stanęła drobna jasnowłosa kobieta. Igor wyglądał jak jej młodsza kopia.

– Igorku, chodź coś zjeść. – Kiedy nie doczekała się odzewu, podeszła do syna i delikatnie położyła mu rękę na ramieniu. – Chodź. Obiad czeka.

Chłopak popatrzył na matkę nieprzytomnym wzrokiem.

– Zaraz, jeszcze coś tu muszę skończyć.

– Znam to twoje zaraz. – Uśmiechnęła się. – Zupetnie jakbym ojca słyszała.

– Przyjdę, serio. – Też się uśmiechnął i znowu włożył słuchawki.

W pewnej chwili schylił się po szmatę, która mu upadła, i wtedy spod T-shirtu wysunął się woreczek. Igor podeszedł do drzwi. Ogarnął spojrzeniem podwórko, parę kur pracowicie rozgrzebujących grządki w ogródku pod oknem kuchni. Pod ścianą domu stała drewniana ławka, jeszcze zrobiona przez ojca. Siedział na niej Stasinek. Nogi poparzone pokrzywami trzymał w miednicy z wodą. Obok niego stała bateria piw.

– Te, młody! – wrzasnął Stasinek i beknął. – Sprawę mam.

– No?

– Kasę byś pożyczył?

– Nie.

Igor starannie zamknął drzwi, a potem przesunął skrzynię stojącą pod ścianą. W rogu, w stercie szmat, leżał litrowy słoik do połowy wypełniony banknotami. Chłopak

przełożył do niego pieniądze z woreczka i przysunął skrzynię z powrotem.

Podeszedł do motoru i poklepał go po siodełku.

– Niedługo dostaniesz to obiecane sprzętło.

* * *

Zojka wielokrotnie i bezskutecznie próbowała sobie przypomnieć, kiedy odkryła czar patyczaka. Kiedy zauważyła związek między myśleniem o unieruchamianiu, czasami połączonym z przymykaniem oczu, a unieruchamianiem innych.

Pamiętała za to doskonale, kiedy po raz pierwszy świadomie użyła tej umiejętności. To było niedługo po śmierci mamy.

Wracały do domu z Jagodą. Grześ był na kolejnym muzycznym wyjeździe.

Zza krzaków koło mleczarni wybiegł kulejący pies, za nim grupka wyrostków. Jagoda próbowała ich zatrzymać, nawet na nich huknęła, ale chłopakom to nie przeszkadzało. Jeden z nich zamierzył się kamieniem. Mała Zojka przymknęła powieki. Chłopak stanął nieruchomo z wyciągniętą ręką. Jego koledzy zaczęli rechotać. Pies zdążył uciec.

Zojka nie chciała o tym rozmawiać ze smutną babcią.

Grześ był za daleko.

Powiedziała więc tylko Lemkowi.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl
www.nk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Creamy 80 g/m² wol. 2,0.*

ZING

Redaktor prowadzący *Katarzyna Piętko*
Opieka redakcyjna *Magdalena Korobkiewicz*
Redakcja *Katarzyna Szroeder-Dowjat*
Korekta *Roma Sachnowska, Joanna Morawska*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska,*
Agnieszka Czubaszek-Matulka

ISBN 978-83-10-13380-9

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2019 r.
Wydanie pierwsze
Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków